

Wiesław Krajewski

Wszyscy jesteśmy lekarzami

Oglądam reklamy. Wszyscy oglądamy reklamy. Oglądamy, słuchamy, czytamy. W radiu, telewizji, prasie, na ulicy, przy drodze. W dzisiejszym świecie reklamy otaczają nas zewsząd. W niektórych stacjach telewizyjnych trwają tak samo długo, jak emitowany film. Zapewniają nasze skrzynki pocztowe - i te prawdziwe, i wirtualne. Skierowane są do wszystkich - niezależnie od płci, wieku, wykształcenia. To jest część dzisiejszego stylu życia. Część kultury masowej. Forma sztuki, może tylko trochę niezbyt wyszukana, chociaż nie zawsze. I na pewno nie jest to sztuka dla sztuki, tylko sztuka dla zysku. Ale sztuka. Dziś trudno jest wyobrazić sobie życie bez telefonów komórkowych, sprzętu elektronicznego, komputera, Internetu. Z pewnością dotyczy to też reklam. Bez nich czuliśmy się trochę zagubieni, zdezorientowani, a nasza egzystencja na pewno straciłaby pewien koloryt. Powiedziałbym nawet, że czegoś by nam brakowało.

Reklamy dotyczą wszystkiego, co się da sprzedać. Za wyjątkiem tylko takich produktów jak papierosy, większość alkoholi i niektórych usług (lekarze, notariusze), których reklama jest prawnie zabroniona. Nie ma zakazu reklamy np. leków. Na nie zwracam szczególną uwagę. Wydawać by się mogło, że zażywane leki i przechodzone choroby są tematem wstydlivym, a przynajmniej bardzo osobistym, wręcz krępującym. Nic podobnego! Uczestnicy reklam bez ogródek, bez żadnego zażenowania, prosto i szczerze opowiadają o dręczącej ich zgadze, wzdęciach, niestrawności, gazach, hemoroidach, kłopotach z wypróżnianiem, nietrzymaniem moczu, łupieżu, menopauzie i intymnych przypadłościach kobiet, jak i zaniku pewnej istotnej męskiej sprawności. Można odnieść wrażenie, że są to główne problemy zdrowotne Polaków. Ale już nawet nie o to mi chodzi. Niektóre reklamy budzą we mnie niepokój, a nawet pewną irytację. Irytację, bo uważam, że propagują niewłaściwe, wręcz szkodliwe postawy i zachowania.

Czego można się zatem z reklam dowiedzieć? Że w przypadku dolegliwości związanych z hemoroidami najlepiej poradzi nam przypadkowo spotkany nad rzeką, nieznanym nam wcześniej wędkarz. Na kłopoty z nieregularnym wypróżnianiem najlepsze lekarstwo zna koleżanka ze szkoły. Z biegunką doskonale radzi sobie nauczycielka z podstawówki. Z żylakami udajmy się po poradę do sklepowej z nabiłowego. W bólach głowy najwłaściwiej będzie zasięgnąć opinii sąsiadki „spod piątki”. Największe doświadczenie w przypadku wysokiej temperatury u noworodków ma przyjaciółka, która urodziła pół roku wcześniej. Wybrać lek na trawienie niezawodnie doradzi nam sąsiad podczas spotkania przy grillu. Doskonale zna się na leczeniu przygodna kuracjuszka z sanatorium. Nie warto czekać w kolejce do lekarza, bo w naszych chorobach doskonale orientuje się rejestratorka w poradni. Zresztą wśród pacjentów oczekujących w poczekalni znajdują się na pewno takie osoby, które doskonale potrafią wyleczyć nasze dolegliwości. Wystarczy porozmawiać z pierwszym lepszym pacjentem, opowiedzieć o swoich dolegliwościach i... właściwie nie ma co czekać na wizytę u lekarza. Po co? Tak będzie szybciej i taniej, a efekt ten sam. Jest tylko jedno dobre lekarstwo na serce, pozostałe można wyrzucić. A na odchudzanie najwłaściwszy jest lek na bliżej nieokreślone schorzenie wątroby, reszta to już tylko „efekt uboczny”. Na podstawie jednego objawu, koleżanka - gospodyni domowa - potrafi postawić właściwe rozpoznanie, wybrać najlepszy lek, a jest w tym na tyle biegła, że nasze problemy zdrowotne znikają „jak ręką odjął”. Nawet nie

trzeba znać nazwy leku. Wystarczy przecież powiedzieć „ten żółty krem z apteki” i już każdy wie, o co chodzi, i że pomoże. Efekt natychmiastowy i gwarantowany. Jest to na tyle ciekawe, bo chyba żaden lekarz nie postawi diagnozy bez szczegółowego wywiadu, przeprowadzenia badania, analizy badań dodatkowych, nieraz konsultacji ze specjalistą. Tymczasem okazuje się, że jest to o wiele łatwiejsze. Uczestnicy reklam sami rozpoznają chorobę, sami wybierają najwłaściwsze postępowanie, najlepsze specyfiki, sami potrafią siebie i innych skutecznie wyleczyć. I to nic, że większość oferowanych środków to suplementy diety o wątpliwej skuteczności, inne to leki, które „nie pomogą, nie zaszkodzą”, jeszcze inne to tzw. wyroby medyczne. Przeciętny oglądacz reklam i tak się w tym wszystkim nie orientuje. A celem reklamy nie jest to, żeby komuś pomóc w chorobie, tylko, żeby sprzedać oferowany produkt.

Nie chodzi tu tylko o telewizję i reklamy. Takie sytuacje dzieją się także w realnym świecie. Na co dzień, wśród nas. Kiedy uczestniczę w jakichś uroczystościach rodzinnych, przyjęciach lub choćby tylko zwykłej kawie u ciotki, bardzo często się zdarza, że temat rozmowy przy stole zbacza w kierunku zdrowia, a raczej choroby i problemów z nią związanych. Wtedy z reguły znajdzie się ktoś - jakiś wujek czy inny krewny - kto, choć reprezentuje zupełnie inny zawód, doskonale zna się na sztuce leczenia i natychmiast chce nam coś poradzić w cierpieniu. Porada nie polega bynajmniej na poleceniu jakiegoś znanego i cenionego lekarza, a dotyczy konkretnego postępowania leczniczego. Może opierać się o zakres tzw. medycyny domowej (naturalne, babcine, wypróbowane sposoby radzenia sobie z chorobami są najlepsze), albo po prostu dotyczyć medycyny nowoczesnej, tej „aptecznej” (który lek, jakie dawki). Każdy jest mądry zdobytym doświadczeniem, bo w rodzinie różnorodnych chorób było co niemiara. A lekarze? „- A co oni tam wiedzą!”. Zadają sobie wobec tego pytanie: czy lekarze są jeszcze potrzebni? To pytanie retoryczne, bo - jak sądzę - każdy zna odpowiedź. Ale może spojrzeć na to z innej strony. Może rzeczywiście wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu lekarzami?

W Krakowie, w Domu Jana Matejki znajduje się ciekawy obraz. Mistrz namalował go na płótnie w roku 1856. Jest to jedna z wcześniejszych jego prac - miał wtedy zaledwie 18 lat. To niewielkich rozmiarów dziełko było darem dla Józefa Muczkowskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej. W podziękę za ten prezent udzielił on Matejce prawa do korzystania z zasobów biblioteki uniwersyteckiej. Miało to dla młodego malarza duże znaczenie. Na obrazie przedstawiony jest nadworny królewski błazen Stańczyk. Postać ulubiona przez Matejkę. Malował go później jeszcze kilka razy. Scena dzieje się na krakowskim Rynku Głównym. W tle widać charakterystyczne dwie wieże kościoła Mariackiego, po prawej - zarys Sukiennic. Stańczyk stoi obok studni, z której wypływa strumień wody. Do dziś w tym miejscu stoi pompa nazywana „Studzienką Walentego Badyłaka”. Wiąże się z nią tragiczna współczesna historia, ale w XVI wieku stanął przy niej królewski błazen. Ubrany typowo jak na trefnisiu - w rajtuzospodnie, żółtą koszulę z długimi, szerokimi rękawami, charakterystyczną trójrożną czapkę z naszytymi malutkimi dzwoneczkami. Głowę ma obwiązaną bandażem, twarz spuchniętą, oblicze wykrzywione grymasem - widać, że cierpi. Wygląda to na sporych rozmiarów ropień zębopochodny, najpewniej od któregoś trzonowca dolnego prawego, może „ósemki”. Stan nie do pozazdroszczenia nawet dziś, a tym bardziej wtedy. To musiało boleć. Tylko mu współczuć...

Nie! Wcale nie! Stańczyk tylko udaje, że go boli ząb! Tytuł obrazu jest właśnie taki: „Stańczyk udający ból zęba”. Po co ta maskarada? Co mu przyszło do głowy? W czym tkwi dowcip? Otóż obraz powstał w oparciu o legendę, podanie,

anegdotę. Mówi ona, iż błazen założył się z królem Zygmuntem Starym, że znajdzie w Krakowie tylu lekarzy, ilu spotka przechodniów w mieście. I rzeczywiście - każdy, kogo spotkał, chciał służyć mu pomocą w cierpieniu, każdy radził mu jak postąpić, każdy dobrze wiedział, jakie podjąć środki zaradcze. Stańczyk spisywał skrzętnie wszystkie rady, a wieczorem mógł już oznajmić królowi i ogłosić wszem i wobec, że Kraków jest miastem lekarzy. Nie wiem, o co był zakład, ale bez wątpienia wygrał. Mam wrażenie, że nie tylko w Krakowie mieszkają sami lekarze.

I czemu ja się dziwię, co mnie tak irytuje w dzisiejszych reklamach!? Dlaczego nie można zasięgnąć fachowej porady medycznej przy stole u cioci na imieninach!? Co ja tutaj nowego odkryłem!? Przecież Stańczyk już 500 lat temu dobrze wiedział, że wszyscy jesteśmy lekarzami. I nic się nie zmieniło. Nie wszyscy mają dyplomy, ale co tam dyplom, najważniejsze, że wszyscy potrafią leczyć.

Wiesław Krajewski



Jan Matejko, „Stańczyk udający ból zęba”, 1856, Dom Jana Matejki w Krakowie.